

Henryk Hubert – *Filipek bardzo warszawski*

„Trybuna Ludu”,
nr 44 z lutego 1958 r.

Mało kto umie cenić człowiecze życie – te 50 czy 60 lat, które wcale nie tak łatwo jest przeżyć. Mówimy – życie jest jak dziecięca koszulka... Co znaczy wobec historii jedno życie, albo i dwa, czy trzy, a nawet głupie 150–200 lat? Od pradziadka do prawnuka, na dobrą sprawę.

Głupie 150 lat, a ile się przez ten czas może zmienić! Kto z dzisiejszych mieszkańców Warszawy potrafi sobie uzmysłwić potok rwący w dół Książęcą ku Wiśle w poprzek placu Trzech Krzyży, przez który wiódł dla pieszych most, a drugi, podobny, spływający Agrykolą? A podmiejską karczmę pod nazwą „Otwock” na rogu Królewskiej i dzisiejszej Marszałkowskiej, czy wycieczkę za miasto pod Ujazdów, na dobrą wiejską kawę na dzisiejszą ulicę Wiejską? A tak właśnie wyglądała Warszawa tych 150 lat temu. Warszawa – prowincjonalna stolica „Prus południowych”, których granica z austriacką Galicją przebiegała tuż za Otwockiem. Zrujnowane, wyniszczone miasto zdławionej Insurekcji, pozabawione królewskiego dworu, a więc i licznych dworów magnackich, opustoszałe po gwarnych latach sejmów i królewskich festynów.

Miasto, którego stan ludności z ok. 200 000 osób w roku 1794 zmniejszył się do 66 572 w kwietniu 1795, a w roku 1806 wynosił 68 411 mieszkańców. Smutny obraz miasta z tego okresu przedstawia hr. Franciszek Skarbek w swoich „Pamiętnikach Seglasa”.

Oto opis serca ówczesnej Warszawy – Zamku: „Możesz być o kilka kroków od zamku, a nie wiedzieć, że przy nim stoisz. Tam, gdzie posąg jednego z królów polskich najmniej godnego posągu, ponad okopconymi domami się wznosi, jest brama niska, ciemna, w całej szerokości swojej sklepikami i stolikami przekupek ściśniona, przez które główne jest przejście (Brama Krakowska).

... Gdy wejdiesz w dziedziniec zamkowy, gdy przechodząc przezeń usłyszysz odgłos własnych kroków, przez ściany czworobocznego gmachu powtórzony, gdy nie napotkasz żyjącej duszy, ogarnia cię myśl o znikomości wielkości ludzkiej i przypomnisz sobie, że w politycznym znajdujesz się grobie”.

Właśnie tuż obok Krakowskiej Bramy, u podnóża kolumny dźwigającej posąg króla, który najmniej na to zasłużył, zwykł 152 lata temu siadywać bohater książki Władysława Zambrzyckiego pt. „Pamiętnik Filipka” – autor pamiętnika, ale nie Zambrzycki, lecz właśnie sam Filipek – wszędobylski, wszechwiedzący, wszystkich znający i przez wszystkich znany – nieodrodne dziecko Warszawy, a raczej pacholę Warszawy, któremu już wąż poczynał sypać się pod nosem. Warszawski ludek mawiał o nim, że próżniak jest, próżniak spod kolumny Zygmunta. A tymczasem nasz Filipek przy blasku łojowych świec spisywał nocami to wszystko, co widział i słyszał przez dzień cały uwijając się między kramami, po różnych handlach i oberżach, domach zajezdnych i urzędach na Marywilu i Faworach, wśród przekupek i kramarzy, artystów, lekarzy, uczonych, służby wszelakiej, pruskich urzędników, francuskich emigrantów, księży, oficerów itd.,

itd. Jednym słowem to wszystko, co działo się w ówczesnej Warszawie. I tak powstał pamiętnik Filipka, zbiór arcywarszawskich sztychów i szkiców, uroczych plotek i ploteczek, dykteryjek i facecji, historyjek i anegdot – barwny wizerunek Warszawy lat 1805–1806, którego nie zdążyli utrwalić na swych obrazach i rysunkach ani przedtem Bernard Bellotto, Canalettem młodszym zwany, ani potem Franciszek Kostrzewski. Spod Filipkowego gęsiego pióra wyrastają konterfekty ówczesnych „rodaków warszawskich” i ówczesnych warszawskich znakomości: pana Lindego i profesora Magiera, Wojciecha Bogusławskiego i Amadeusza Hoffmanna, Elsnera i Cypriana Godebskiego, właściciela serc wszystkich chyba warszawianek – księcia Józefa i jego egerii, afektowanej i już starszawej pani de Vauban, Wobanką zwanej, uroczej panny Czarnowskiej – młodej ochmistrzyni dworku mistrza Bacciarellego, której Filipek od księcia Józefa liściki wielce sekretne nosił – całej galerii postaci z pałacu pod Blachą, dworu hrabiego de Lille, Teatru Narodowego, szpitala Św. Łazarza, Kamery Pruskiej – czyli siedziby pruskiej władzy. Wyliczyć wszystkich trudno.

Całość malowana ówczesnym językiem warszawskim, gwarową manierą, która nam dziwnie trąci czymś dzisiaj znajomym... Któż to tak upraszcza po warszawsku nazwiska francuskich przelotnych ptaków i osiadłych już obywateli: Fleury – Fruła, Dubois – Dzibuła, Vauban – Wobanka? Zaraz, zaraz, czy to nie przypadkiem... pan Piecyk? No nie, przecież to Filipek. A może Filipek to... jakiś pradziadek młodego Walerka Wątróbki?

Tak jakby skrzyżowanie Walerego Przyborowskiego ze Stefanem Wiecheckim. Ale grapefruit wyszedł warszawski. „Historia jest opowiadaniem faktów uznanych za prawdziwe, w przeciwieństwie do bajki, która jest opowieścią o faktach uznanych za fałszywe” – pisał Voltaire w „Słowniku Filozoficznym”, a Krasicki w „Monitorze” uzupełniał: „Historia wtenczas tylko jest dobra, kiedy nie jest bajeczna i nie ma przydatków romansowych...”.

Ale pozostawmy Voltaire’owi i Krasickiemu naukowe dociekania, w jakim stopniu „Pamiętnik Filipka” jest historią. Przyjmijmy za dobrą monetę poprzedzający „Pamiętnik” wstęp, w którym zostało powiedziane: „Autor tych opowiadań pozostawił kilkaset bezładnie zapisanych (i nie numerowanych) kartek papieru, nic więc dziwnego, że ci, którzy mieli je w ręku, ocenili ten materiał jako rzecz wątpliwej wartości historycznej”.

Zbyt przesadna może to skromność, bo na „Pamiętnik Filipka” z pewnością złożył się wielki i żmudny wysiłek szperania w archiwach i w pożółkłych szpaltach ówczesnych tygodników, w pracach ówczesnych pamiętnikarzy. Filipek nie raz czerpie swą historyczną wiedzę z relacji pana profesora Antoniego Magiera – autora „Estetyki miasta Warszawy”. To czyni go jeszcze bardziej wiarogodnym. Dlatego też skłonimy głowę przed cierpliwością i pasją badawczą Władysława Zambrzyckiego i nie będziemy się spierać, czy rację ma Filipek notując, że wojska francuskie wkroczyły do Warszawy 28 listopada czy też profesor Jan St. Bystrzeński, który twierdzi za Fr. Skarbkiem, że 27; pozostawimy również na uboczu rolę pana Lindego jako rektora Liceum Warszawskiego, które miało być przeciwwagą polskich szkół pijarskich i zamierzało stanowić ośrodek pruskiej dydaktyki. Jakby tam nie było, słownik pana Lindego jest wystarczającą zasługą, by Filipek serdecznie go wspominał.

Trudno też wypominać Filipkowi, że przemilczał dźwięczące na Starym Mieście echo Wielkiej Rewolucji Francuskiej czy też zawołanie czcigodnego mieszczanina – pana Barssa: „Alboż to do samej szlachty, która ledwie trzydziestą część składa narodu, Polska cała należy?”.

Filipek pozostawia te kwestie historykom, zadowala się tradycją. Książkę Władysława Zambrzyckiego czyta się z przyjemnością i z niekłamanym zaciekawieniem. Stanowi ona plastyczny przyczynek do dziejów Warszawy i jej obyczajowości.

A poza tym przypadają jej dwie niemałe zasługi: primo – skusiła pana Antoniego Uniechowskiego do ozdobienia jej uroczymi rysunkami, secundo – wybawiła zacnych członków jury Warszawskiej Nagrody Literackiej z trudnej sytuacji. Bo gdyby nie Zambrzycki, to kto byłby jej godzien i za co?

P.S. A swoją drogą nie wszystko znów tak się w ciągu 150 lat zmienia. Choćby zamiłowania...

W roku 1803 w sześćdziesięciotysięcznej Warszawie czynnych było (wg statystyki) 1475 szynków, 56 browarów i 48 gorzelni.